

TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№. 42. **Poznań, dnia 15 Października 1870.** **Rok II**

Nieszczęsny Legat.

Powieść społczesna

przez

J. K. Turskiego.

(Ciąg dalszy).

IV.

Pierwsze lody.

W kilka tygodni po sławnem otwarciu testamentu, Stanisław mieszkał w rynku na drugiém piętrze, miał dwa pokoje elegancko umeblowane, i właśnie gdy do niego teraz zaglądamy, przyjmował gości u siebie, rozsiadających się na kanapie i krzesłach, palących pyszne cygara i chwalących wyborny gust gospodarza w zakupnie starego wina na licytacyi. Goście ci byli to zupełnie nowi ludzie dla Stanisława, znajomości pozawierane po otwarciu testamentu; byli między niemi kuzynkowie jego, bliskie stopnie pokrewieństwa z nim wynajdujący, byli koledzy zamożniejsi, dawniéj nie bywający wcale u niego, z dawnych zaś przyjaciół nie było nikogo, Tomcio nawet przestał bywać u wielkiego pana, jak go powszechnie nazywano w Lepiance. — Było tam także kilku takich, których siostry chętnieby oddały swoje rączki panu Stanisławowi; bracia ci nazywali się jego przyjaciołmi, zapraszali go do domów swoich i spijali dobre winko, paląc kosztowne cygara. Do tego życia Staś nabrał skądś bardzo prędko potrzebnego a eleganckiego szyku; przyjmował tak, jak było potrzeba, a na potrzebę dostarczał mu pieniędzy jego najserdeczniejszy kuzyn Filip Ciołek, znający jeszcze Stasia z czasów jego niedoli, i dopomagający mu nawet wtedy małemi zasiłkami. Teraz zbliżył się on do Stasia jak do najserdeczniejszego przyjaciela. Oświadczył mu, że kasa jego każdéj chwili otwartą jest dla niego, o oddaniu zaś długów nie pozwolił mu myśleć, aż po wejściu w posiadanie kamienicy. Dopóki to nie nastąpi, mówił pan Filip, niski, gruby, łysy i rudego zarostu, dotąd służę ci czém każesz. Pewnie ci teraz potrzeba z kilkuset złotych na oporządzenie się — oto są; a jeśli będziesz chciał zmienić mieszkanie, cobym radził, bo pewno będziesz teraz miewał uczciwsze wizyty, niż dotąd, to najmiemy w rynku ładne pokoiki, umeblujemy je — i zaczniemy prowadzić życie z szykiem. Studya możesz sobie kończyć, bo to nic nie zaszkodzi — ale lekcyami nie potrzebujesz się obarczać. U mnie masz zawsze obiadek, na który chciałem cię już dawno raz na zawsze zaprosić, ale tak jakoś schodziło — teraz zaś sądzę, iż mi nie odmówisz. — Staś na takie oświadczenie zachwiał się z początku cokolwiek, nie dowierzał bowiem szlachetnéj przyjaźni pana Filipa, któremu z po za słabych okularów połyskiwał fałsz i obłuda — ale kiedy rozważył warunki, a między niemi zwłaszcza ten, że nie będzie potrzebował oddawać, aż po odziedziczeniu kamienicy, powoli zaczął się nakłaniać do wszystkiego, i widzimy go oto śród wesołego grona przyjaciół już jako wierzyciela 4,000 złotych polskich panu Filipowi, na których otrzymanie raz tylko swoje nazwisko napisał na papierze. — Goście ci, byli to członkowie tego szczęśliwego klubu, który się złotą młodzieżą nazywa, a główném zadaniem ich jest: nic nie robić, ubierać się podług mody, grać w karty, pożyczać, co się tylko da, kochać się w aktorkach — i nic więcéj. —

Staś nie znajdował wprawdzie wielkiéj przyjemności w towarzystwie tych nowych osób, u których nawzajem

bywał, przyjmowany suto i etykietalnie, ale wdawszy się już raz w ten tryb życia, brnął w nim coraz bardziéj, i — co nadewszystko, przyzwyczajał się powoli do niego. —

Towarzystwo zebrane u niego naradzało się nad sposobem przyjemnego spędzenia dwóch dni świąt nadchodzących, a różne w tym celu stawiane wnioski, nie zasługują nawet na przytoczenie. Staś słuchał wszystkiego z rezygnacyą człowieka, który się poddał wpływowi otaczających go osób, nie sprzeciwiał się niczemu, wszystko mu się podobało, ale niczego nie rozstrzygał. Stanowczy głos w téj materyi zostawiał on panu Filipowi, od którego dalsze wykonanie postanowionych planów było zawisłém.

— Więc przejażdżka wierzchem? — zapytał się Karól, akademik, nazywany powszechnie elegantem, a przez złośliwszych dżokejem — dżokejów — pieczeniarz i próżniak podobniuteńki do wszystkich gości Stanisława.

— Wybornie, powtórzyło kilku.

— Wszyscy jak tu jesteśmy, pojedziemy, rzekł znowu Karól.

— I pan Filip! zawołał malutki, szczuplutki Atanazio, słynny z robienia wierszy i dowcipu — którego jednak nie wielki posiadał zapas w istocie.

— A i pan Filip z nami, powtórzyli inni.

— Dobry projekt, rzekł na to pan Filip — ja bardzo lubię jeździć wierzchem, i Stasiowi będzie to nawet zdrowo.

— Więc wnoszę zdrowie wnioskodawcy, zawołał Antoś, artysta malarz, lubiący pasyami (jak sam mówił) i wino i wódkę i piwo — i powstawszy z kanapy z po za stołu, z kielichem w ręku, donośnym mówił głosem: Zdrowie kochanego Karólka!

— Niech żyje! wiwat! wołali wszyscy, i wychylili duszkiem świeżo napełnione kieliszki winem.

Szły potém inne wnioski, układano szczegółowe plany przejażdżki, a Antoś chwytał każdą okoliczność sposobną i intonował zdrowia. Podochoceni i niektórzy podchmieleni trochę, zaczęli się wreszcie rozchodzić, zobowiązując się słowem do stawienia się o naznaczonéj godzinie nazajutrz, w wiadomym punkcie zjazdu. — Gdy wszyscy wyszli i gdy Stanisław wszystkim serdecznie za pamięć o jego domku podziękował, pan Filip pozostał jeszcze, a gdy już byli sami, we dwóch taką zaczęli znowu naradę:

— Więc ci będzie trzeba znowu pieniędzy? zapytał troskliwie i niby przyjacielsko.

— A! jeżeli kochany stryjaszek będzie tak łaskaw, odrzekł Staś, całując go w buzię.

— No! to tam nie wielka rzecz, dodał stryjaszek — ale przyznam ci się, że właśnie teraz zbrakło mi trochę gotówki — trzeba będzie może pożyczyć od kogo, tylko że to zaraz wielkich procentów wymagają.

Éj co tam o procenta — jeżeli tylko stryjcio sam nie może, to trzeba zapłacić procent — bardzo naturalnie.

— Ale nie wiém, czy ty mi tylko wierzysz, bo jak Boga kocham, tak mi wypadło, żem prawie bez grosza. —

— A wie co stryjcio — rzekł na to wdzięczny kuzynek — boby może dobrze było żeby pożyczyć od kogo tam stryj chce lub może, większą sumkę od razu, jabym stryjowi spłacił to, co winienem, kiedy stryjowi teraz potrzeba, a potém jak stryj będzie miał i będzie łaskaw mi wygodzić, spłacimy znowu ten dług nowy, a ja go zwrócę po odebraniu kamienicy.

— Wiesz co, że to nie zła myśl, rzekł stryj, nigdybym na nią nie przystał, gdyby nie istotna potrzeba. Ja tu znam jednego procentowicza, to ci go dziś jeszcze sprowadzę – on ci policzy procent umiarkowany, i to na czas, który ja ci wyznaczę, t. j. na czas dopóki nie będę miał gotówki do jego zaspokojenia.

— Bardzo dobrze kochany stryjaszku — rób tak, jak może być najlepiéj.

— Ale z tém wszystkiém, mówił pan Filip tonem nieco zmienionym, zawsze to nieprzyjemna dla ciebie historya tak czekać i czekać, Bóg wie dokąd, na swój własny majątek.

— Ha! trudna rada — cóż robić, kiedy nie można inaczéj; z panią Ambrożową nie podobna było zawrzeć jakiéj umowy.

A — bo téż to nie potrzebne było wcale, żeś się do niéj udawał.

— Mój stryju, ja chciałem uczciwie postępować. Wiedziałem, iż ten legat pana Ambrożego ją dotknął boleśnie; że jéj przykro wiedzieć o tém, iż tam ktoś czeka niecierpliwie na jéj śmierć — chciałem wejść z nią w dobrowolną umowę i zaproponowałem, czyby mi dziś nie odstąpiła téj kamienicy, w zamian za wynagrodzenie stósowne z méj strony. Wiesz, jak się na mnie obruszyła — jak mi wyrzucała, że przychodzę ją mordować, aby prędzéj skończyła — i tam daléj — i tam daléj...

— A to można tę rzecz załatwić inną drogą i nie narażać pani Ambrożowy na gniewy i rozdraźnienia.

— No i jakże to?

— A sprzedać cały legat

— I nie mieć téj kamienicy, którą pan Ambroży na to mnie zapisał, aby została przy Ciołkach.

— O! to bagatela... można dziś sprzedać legat — robić pieniędzmi i przyrabiać je — a potém kupić kamienicę. —

— Możeby było zapóźno wtedy mój stryju.

Ha! nie jest to już decyzya — ja tylko rzucam radę, wniosek — trzeba nad nim pomyśleć, zastanowić się — rozważyć — aby potém nie żałować. Ale mnie się zawsze zdaje, że lepiéj wyłamać się już raz z tego przykrego stósunku z panią Ambrożową, który i tobie nie jest wcale przyjemnym.

— Oj że nie, to nie, mój stryju; ale to nie łatwa ecz zdecydować się na to, co stryj proponuje. Legat mój nie może być dzisiaj ceniony całą swoją wartością — bo któż wiedzieć może, jak długo biedna wdowa pożyje...

— A naturalnie — każdy ktoby go nabył, musiałby stracić najmniéj z jakie 10 lat oczekiwania, a więc dziesięć lat procentu. —

— A zatém zawszeby była dla mnie strata. —

— Lecz z drugiéj strony zysk — lat 10 oczekiwa-

nia, a może i więcéj — może i drugie tyle, to podobno nie mała męczarnia. —

— To prawda — a jednak ja się strasznie waham. Zdaje mi się zawsze, żeby to była spekulacya, ubliżająca pamięci nieboszczyka, który mi jednak chciał wyświadczyć dobrodziejstwo.

— Éj, to są dziecinne skrupuły — ale co tam o tém gadamy teraz; na to trzeba namysłu i rozwagi; rzecz taka nie robi się stante pede, wymaga ona najmniéj miesiąca czasu; należy bowiem wszystko dobrze obmyśleć i obliczyć, więc potém o tém pogadamy; teraz zaś pospieszyć mi wypada w interesie jutrzejszéj przejażdżki, na którą stawić się musimy przecież, jako związani słowem honoru.

— A prawda, prawda mój stryju — radź temu, jak możesz, a o tamtém pomyślimy i naradzimy się jeszcze gruntowniéj.

Pan Filip pożegnał Stanisława i pobiegł za interesami. Jak czytelnicy widzą, był to na gruby kamień spekulant; — sprzykrzyło mu się już wypożyczanie bez procentu, i pokierował sprawę tak zręcznie, że teraz i procenciki pobierać będzie, przez przedstawionego procentowicza, który za małém wynagrodzeniem przyjmie na siebie rolę bogacza. Panu Filipowi nigdy gotówki nie brakowało. O legat traktuje on także w swoim interesie i ma nadzieję, że wszystkie skrupuliki Stasia przełamie. —

Staś ujrzawszy się sam w środku pobojowiska, pozostałego po swoich gościach, westchnął sobie nad teraźniejszością swoją — tak niewłaściwą jego przeszłości, a tak niby konieczną do wstąpienia w nową epokę życia. Pan Filip męczył go trochę; ale najwięcéj męczyła go myśl o legacie, który zamiast szczęścia, tyle mu kłopotów i niepokoju sprowadzał. — Éj — może i lepiéj sprzedać to dziwne prawo własności — niż się biedzić tak nad niém i niepokoić ciągle. Może i dobrze stryj radzi. — Co mi tam, że się kto zgorszy tym postępkiem, kiedy mnie będzie lepiéj. — Ale — dodał znowu sam mówiąc do siebie — przecieby lepiéj było poczekać. Byłoby to ładniéj — i uczciwiéj podobno. — I szamotał się tak ciągle, wahając się między myślą o sprzedaży legatu, a między skrupułem szanowania pamięci swego dobrodzieja. I przykrą dla niego była ta walka — bo to nie był człowiek zły ni zepsuty, ale nowe towarzystwo i wpływ nowych ludzi, zaczęły go psuć i zprowadzać z drogi prostéj na manowce i kręte ścieszki. Na niczém więc to szamotanie się nie skończyło, gdyż wkrótce zjawił się pan Filip z panem Aleksandrem Blichoniem, kapitalistą, którego Stasiowi przedstawił jako swego dobrego przyjaciela. Pan Aleksander Blichoń był to mężczyzna mający lat czterdzieści parę, wzrostu dobrego, wychudły, zbiedzony, w lichém odzieniu, w długiéj kapocie sięgającéj aż po kostki, z chustką żółtego koloru, nakrapianą czerwonemi talarami, na szyi — opalonéj, czerwonéj, pogarbionéj — wzroku głupkowatego, twarzy śniadéj a promieniejącéj rumieńcami, ocienionéj wąsem ostro strzyżonym, wąskim ale dość gęstym nad samemi obrzękłemi wargami. Pan Filip przedstawił go jako kapitalistę, był to zaś w rzeczy saméj mizerny pokątny doradzca, który za parę złotych nagrody wypełniał wszystkie rozkazy pana Filipa. Więc zaczęto traktować. — Staś posadził na kanapie swego miłego gościa — i w krótkim czasie wszystko ułożono szczęśliwie: i pożyczkę i weksel i procent — i wypito na dobicie targu po lampeczce wina — poczém pan Blichoń odszedł. Były zatém i pieniądze na jutro, a nawet pan Filip zaraz się podjął wyszukać i wynająć dwa wierzchowce, na co nie wstydził się wcale wziąść kilkadziesiąt złotych od Stasia. Gdy odszedł, Staś zaczął znowu dumać nad sobą. Nie wiedzieć zkąd przyszła mu na myśl Lepianka i dawny przyjaciel Tomcio. O Lepiance prawie już zapomniał. Nie bywał tam; Wikcia była pewną, że się już romans skończył, i dla tego była bardzo szczęśliwą, nie potrzebując się codzień ubierać dla przyjęcia upragnionego gościa — ale swobodnie w negliżu wiejskim grzebała sobie w ogródku. Staś stracił wszelką poetyczność z swego serca; zaczęło mu się rozjaśniać, i przekonał się, że Zosia Tadeuszowska to zupełnie co innego, a Wikcia znowu co innego. Teraz gdy sobie o niéj wspomniał, przedstawiła mu się jako tłusta klucznica z Okrężnego, trajkocząca językiem jak wiatrak warszawski. Mamę zaś siedzącą dumnie, podczas jego wizyty na kanapie, wyobraził sobie podobną do Kopernika z krakowskiego przedmieścia — który się rozsiadł z wielką pompą i wygodą na swoim piedestale. Więc żartował sobie z obojga — ale o Tomciu inaczéj mu szeptało wspomnienie. Gdy bowiem z dzisiejszą tłuszczą swoich nowych przyjaciół, porównał dadawnego, poczciwego i uczynnego Wileckiego, kiedy sobie wspomniał jak on to bezinteresownie wszystkie jego spełniał polecenia, jak prawie przenikał jego myśli i potrzeby, rzekł sam do siebie podczas tego dumania: Po Tomciu moim poznaję, co warci są nowi przyjaciele. I westchnął sobie nad swojém nowém położeniem, i radby pewnie do dawnéj izdebki na Wesołéj powrócił wraz z Tomciem, gdyby nie ten nieszczęsny majątek, który już, już wyciągał rączki swoje ku niemu, aby go rozkosznie uścisnąć na zawsze. — Po chwili więc szamotania się, słaby ten człowiek powiedział sobie, że trudno, że tak być musi jak jest — a ja to szamotanie się jego nazwałem pierwszemi lodami na drodze do zapowiedzianego szczęścia napotkanemi — lodami, z któremi przyszło mu już szamotać się duszą, a po których nastąpią — dalsze rozdziały méj powieści. —

(Dalszy ciąg nastąpi).

Nadzieja*).

Zbił grad na łanie całą żniw nadzieję,
Niema i kłosa na wieniec żniwiarzy;
Cóż czyni rolnik? na nowo ją sieje
I lepszą przyszłość znów marzy.
O! nie broń, nie broń urojeń mych pola
Ziarnem nadziei obsiewać,
Już niebo wstrzęsła Polaków niedola
Pozwól się, pozwól spodziewać.

Zasnął sierota na cierniu boleści,
Ogląda matkę żywą wśród marzenia,
Z młodą się myślą promyk szczęścia pieści,
Senne mu złoci widzenia.
Z omamień chcesz-li wypędzić go kraju,
Chcesz-li sen szczęścia rozwiewać?
Nie budź go, przebóg! nie wywołuj z ra u,
Pozwól się, pozwól spodziewać.

Spartański szkielet przebył lat tysiące,
Zbudził się — powstał — odział blaskiem chwały,
A prochy Polski jeszcze tak gorące
Jużżeby ożyć nie miały!?
Będą je będą wszystkie syny dzielne
Ogniem serc swoich rozgrzewać,
Błyszczą z popiołów iskry nieśmiertelne,
Pozwól się, pozwól spodziewać.

Jeszcze Bóg dobry dawnych zdolny cudów,
Jęk Go nasz w górnéj ojczyźnie dolata,
Słyszysz jak huczy wielka burza ludów,
Wre... grzmi .. tętni wulkan świata?!
Kończą, już koń zą law tych groźne wary
Na piorun zemsty dogrzewać.
Nie! nie zawodzi ni bo silnéj wiary,
Pozwól się, pozwól spodziewać.

Pozwól się patrzeć w gwiazdę marzeń tkliwych,
W kwiaty nadziei grób Polski przybierać,
Nadzieja życiem, szczęściem nieszczęśliwych,
O! nie dajmy jéj umierać.
Póki lud żyje, póty nie przestanie
Pieśni nadziei s éj śpiewać,
Nią się on budzi, przez nią zmartwychwstanie,
Pozwól się, pozwól spodziewać.

Nigdy sobą.

Nowella.

Napisał
Władysław Ordon.

(Dokończenie.)

Akt II.

W tym samym dniu bank er Korn policzywszy swoją kasę, stanął i wziąwszy się za brodę. podrapał się w głowę. Potém mlasnął ustami i palcami wstrząsnął... Uśmie hnął się i szepnął:

— Mam osiem milionów!...

Stary, obdarty Żyd przechodził przez ulicę Bankier wstrząsnął się i zamknął okno...

— Wydam Idalkę, rzekł i dodał:

— Za hrabiego! lub potomka sławnéj rodziny!...

Idalka była wysmukłą brunetką. Gorącéj, a matowéj śniadości — wyglądała jak opalona Wenus... Płaszcz jéj kruczych włosów zginał złotą szpilkę w nich utkwioną.... Idalka! Samemu ojcu wolno było chyba ją tak zdrobnić. Idalka była — potężną. Nazywano ją piękną Idalią... Była królową balów i solą w cudnych oczach dam stolicy... otrzeba było być człowiekiem bez gustu i wstydu — że y nie posiadać jéj fotografii. Tworzyliśmy przecież przed nią szpaler. gnąc się, jak wiatrem pochylane kłosy, przy jéj przejściu i przeprowadzając ją bojaźliwie zachwyconemi oczyma... Każdy przyzwoity parafianin, noszący wysokie kołnierzyki i lakierki — przedmiot zachwytu panien burmistrzówien, uważał za święty obowiązek wiedzieć o niéj. Idalka — była sławna!...

„Gdzie ludzie rozumni nie trudno o zgodę,
Wnet wszystko stanęło, skończone!“

Przez pół roku nie mówiono o niczém więcéj w stolicy, jeno o zamężciu pięknéj Idalii z synem znakomitego Zadory. — Zazdrości wyrastały jak ludzie ze smoczych zębów przed Jazonem, statystyka porachowała z rozpaczą pięć samobójstw więcéj w tym roku... ściany salonów spochmurniały i zapachniały pustką... piękne panie tylko cieszyły się w duchu z abdykacyi niebezpiecznéj rywalki. Zawcześnie! — Piękna królowa nie opuściła swego tronu. Młody karnawał zobaczył ją w mieście i rozniósł tę wieść lotem strzały... Salon Idalii otworzył dobrotliwie podwoje dla tłumu dworaków. — Idalia była jak słońce. Olśniewała. Ślepiła by, gdyby nie długa firanka rzęs czarnych, którą zapuszczała na oczy, jak Mojżesz zasłonę na swoją aureolę...

W dni recepcyi, wieczorem, legiony fraków dążyły w jednym kierunku. Każdy chciał być pierwszy. Spotykający się, zamieniali krótkie zdania:

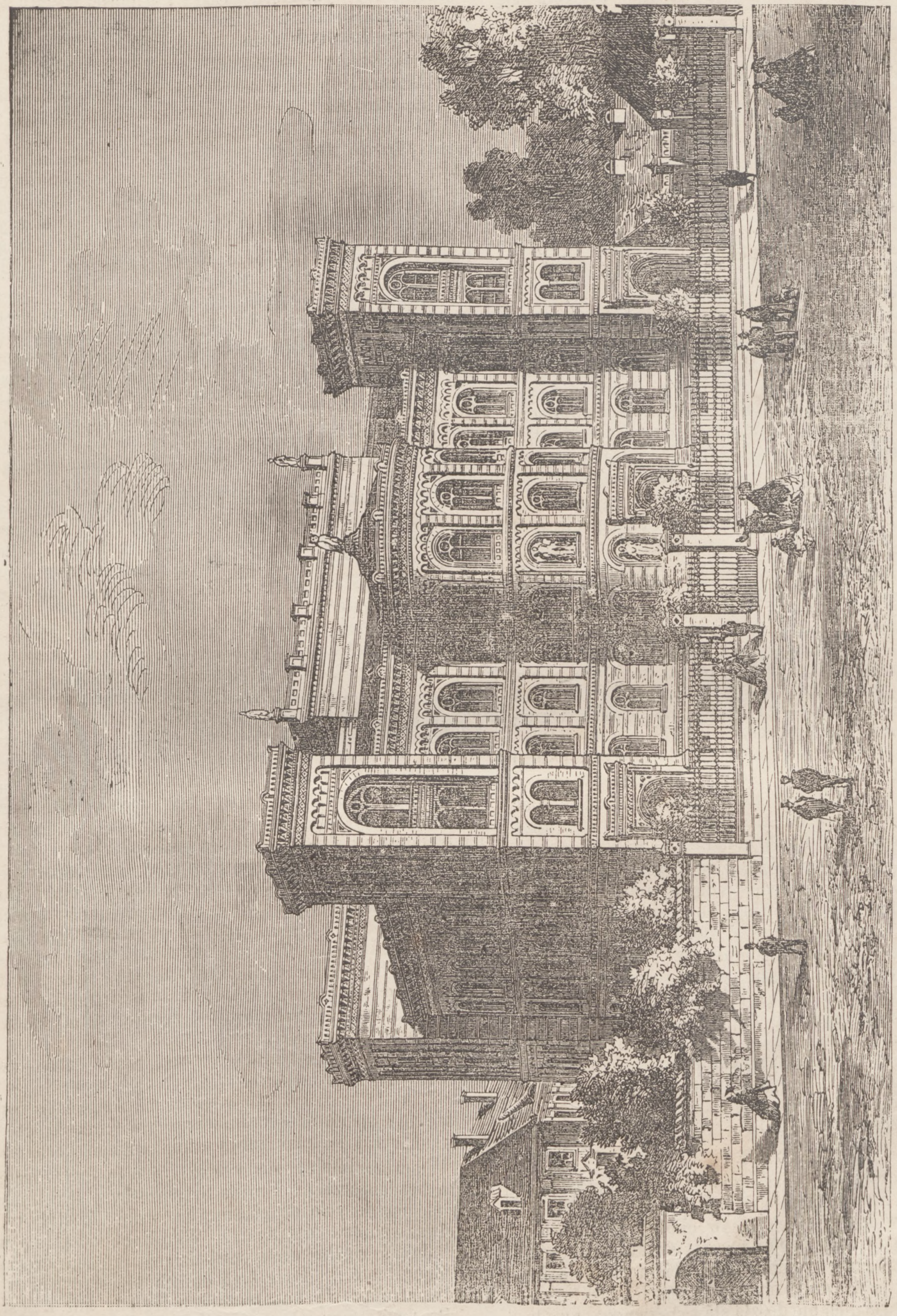
— Gdzie idziesz?...

— Do pięknéj Idalii.

— I my!

— Czekajcie, wołał jakiś parafianin, za kogo ona wyszła!...

*) Wiersz ten, nadesłany Redakcyi przez jednego z przyjaciół Sobótki, według zapewnień jest dziełem Franciszka Morawskiego. (Przyp. Redakcyi).



Szkoła realna w Poznaniu.

— Wyborny, na co ci to?

— Ależ, bo chciałbym wiedzieć u kogo będę...

— Będziesz u pięknéj Idalii, Hotentocie, Irokezie... co ci po jéj mężu!...

Bal szedł imponująco... Sala taneczna drgała jak żywa. W bocznych pokojach ludzie poważnie obsiedli zielone stoliki... Kilku młodych ludzi przyszło się ochłodzić...

— Kto jest ten czarny człowieczek, cały w dekoracyach... pytał jeden...

— Który?...

— Ten co z taką powagą i dobitnością bije asa...

— Ach ten! czekaj! to mąż pięknéj Idalii...

— A! Jakże się nazywa?

— Dalibóg! nie wiem!... pójdę się zapytać...

Syn znakomitego Zadory został mężem pięknéj Idalii!...

Gorzéj było z żyjącą niż z umarłą znakomitością. Tamta podnosiła go, ta pochłaniała!...

Nie spostrzegano go za królewskim ogonem jego żony... Rekomendowani... zapominali wnet o nim... W krótce stał się mytem...

Był jak gryf albo smok krakusowy. Powiadają, że ten istniał ale czy istniał... Może to tylko symbol?... Korn był w rozpaczy. Tyle liczył na urok imienia swego zięcia a zawiódł się. Urok ten już zniknął. Pocieszał się więc tylko tém, że stary obdarty Żyd umarł!...

Tymczasem mąż pięknéj Idalii nie miał nawet téj pociechy... Ponury i przybity błąkał się po swoich salonach nie postrzegany przez nikogo. Czasami zamknąwszy się u siebie w gabinecie, rwał się gwałtownie i chodził... Chciał być sobą, za jaką bądź ceną... Chciał napisać poemat. Niestety metryczność wiersza była dlań nie dającą się rozbić barykadą... Chciał pisać o ekonomii. Napisał... Przyjęto go.. najsolenniejszém milczeniem!... Pewien niezgrabiarz doniósł pięknéj Idalii, jako mąż jéj zrabował Louis Blanca i Chevalier a piękna Idalia zrobiła mężowi scenę, dowodząc, że ją kompromituje... Zrozpaczył! Byłby spalił świątynię Efezką — gdyby istniała jeszcze, i gdyby nie był zrobił tego nieboszczyk szewc Herostrat!.. Przypomniał sobie także, że w owych czasach policyi nie było... Przyparty do ściany, spłaszczony, wołał śmierci... Litośna, przyszła mu w pomoc. Pod koniec karnawału, piękna Idalia, królowa balów, zaziębiwszy się, Bogu ztańczonego ducha oddała...

Spuśćmy zasłonę na rozpacz stolicy... Zamilczmy o boleści ojca... Nie możemy jednak zamilczyć o dziwnym fenomenie... Wdowiec po pogrzebie, stanął przed lustrem i wyprostowawszy się... zatańczył! Dalibog... zatańczył... Choreograficzna kronika milczy o rodzaju tego tańca. Może to były skoki pogrzebowe Indyan. Wydostał się na ulicę śmiałym i wesołym krokiem... Przede drzwiami napotkał tłum, który usuwając się przed nim, szeptał z współczuciem imię jego żony... Zacisnął pięście i krzyknąwszy:

— Przekleństwo! — wbiegł do domu i schował głowę w poduszki...

Umarli prześladowali go!...

Akt III.

Wesoła poczta unosiła naszego bochatera do jego dóbr Pińskich. Przed nim roztaczała się pełna kęp i bagien, dziurawych mostków i mszystych lasów okolica... Zdawało się, że to mur odgraniczający od reszty świata. Ukosem patrzące, rozczochrane, woniejące dziegciem postacie ludu w postołach, wydawały mu się przyjacielskiemi, zachwycającemi... Do nich nie doszła sława prawnego zawodu jego ojca — ani odblask wdzięków żony... Ci prości, spokojni duchem wieśniacy poznają w nim człowieka równego sobie i żyć z nim będą. Tutaj będzie sobą...

Zajechał do starego dworu. Ciotka umarła... Nikogo z dawnych nie było... Stary kredencerz tylko wyszedł do niego, mając zmarszczki pełne łez. Uśmiechał się i pokazywał z poczciwą radością bezzębne dziąsła. Cztery chude psy obwąchały go podejrzliwie. Było południe... Od łąki dolatywał okrzyk! cioś! cioś! cioś... i zapach świeżo skoszonego siana... Wieś ciągnęła się rzędem nizkich szarych chałup bez kominów. Wszystko w niéj jakby wymarło... Cisza i senność wisiały w nieruchomém powietrzu... Na piasku ciepłym, leżało kilkoro pucołowatych dzieci, pokazując słońcu z naiwną bezczelnością, nagie brzuszki...

W tém otoczeniu odetchnął nasz bohater. Zdawało mu się, że zatarł za sobą ślady, że zostawił po sobie martwy zewłok i nowe zaczyna życie... Istotnie zdawało się, że fatalizm się znużył... Wieśniacy oswoiwszy się z myślą pobytu dziedzica u siebie, nie omijali go bez nizkiego pokłonu i pozdrowienia. Dzieci, przyglądające mu się z początku z za płotów, ośmieliły się i wstrząsając konopiastemi główkami, biegły hurmą całować go w ręce, gdy przez wieś przechodził... Ulubił sobie ten ludek mały i gadatliwy.

W najlepiéj zachowaném skrzydle dworu urządził sobie rezydencyą. Purpurowa wiecznie spocona Motruna, córka dyaka, wybrana została, z poręki kredencerza, do zarządu domem i opasała swego pana mamałygą i blinami, których stał się wielkim zwolennikiem. Dzień przechodził mu, do dnia podobny... Wieczorem wychodził na przechadzkę za kołowrót... Tam wyjmował z kieszeni zapas pierników dla dzieci, gromadnie pchających kołowrót.

Wróciwszy zabierał się do odczytania gazety jedynéj, jaką prenumerował w stolicy i przekonywał się zawsze z pociechą, że zapomniano o nim zupełnie. Senny i mrugający, rozmawiał ze swym kredencerzem, którego szara, wytarta sukmana, założone w tył z kluczami ręce, poczciwy uśmiech majaczyły przed nim coraz niewyraźniéj, aż przy cichnącym szepcie rozbitego głosu staruszka, usypiał... Tak przeszło mu rok i sześć miesięcy obowiązkowéj żałoby. Spokojnie, monotonnie i spiąco szło życie... Zdawało się, że tak przejdzie... Jednakże i tak miał małe przykrości... Dzieci oswojone z nim, widząc go z daleka wołały:

— Idzie pan z piernikami!

Tak nazwały go... Zgniewany rozpędził je i przestał dawać pierniki, Stracił tym sposobem rozrywkę. Ledwo przywykł do téj luki w systemacie codziennym, kiedy nowa przykrość zamąciła mu spokój...

Stary kredencerz często stawał naprzeciw niego z oczami pełnemi łez a uśmiechem na ustach i długo, długo się wpatrywał. Raz wdowiec zniecierpliwiony i gniewny jakoś od rana, zapytał go z niechęcią...

— Czemuż tak na mnie wyłupiasz oczy Jakóbie?

— Ach kochany paniczu, wyszeplenił stary, panicz taki podobny do nieboszczyka pana... napatrzyć się człowiek nie może... wykapany nieboszczyk... Jak człowiek kocha to i rad patrzeć...

— A za cóż ty mnie kochasz, mój stary, rzekł udobruchany wdowiec...

— Ajaj! panicz żartuje — a cóż to pański tatko, czy nie był ojciec nasz najmilejszy, choć tak krótko tu mieszkał... toż i ciebie gołąbeczku, za niego kochamy..

Wdowiec zerwał się wściekły i wypędził niezgrabiasza kredencerza... Próżne były prośby i jęki, musiał stary iść na dożycie do chałupy za wsią. Została tylko poczciwa, spocona Motruna... Wdowiec począł się nudzić. Jakaś ciężka niewypowiedziana próżnia dręczyła go. Zaczął tyć... Po całych dniach przesiadywał w oknie, wpatrując się hebetycznie w legiony kur i gęsi...

Raz mu krew uderzyła do głowy, że go odcucono ledwie...

Wróciwszy do siebie stanął przed lustrem, obejrzał język i rzekł do siebie:

— Źle!... i dodał:

— Pies nawet po śmierci nie wspomni:...

Rezultatem tego wypadku było przesilenie, postanowił ożenić się po raz drugi. Ale na ten raz będzie ostrożny. Nie weźmie za nic żony sławnéj przez cokolwiek lub kogokolwiek. Gdyby nawet pradziadek panny popełnił zbrodnią zyskania sławy, już się z nią nie ożeni. O tak, nie ożeni się!... Nie da się złapać...

Obejrzał się...

Okolica była zamożna w smołę a uboga w panny... Ale, o milę, mieszkał szlachcic, sknera, zacięty gospodarz z jedyną pociechą, córeczką Agatą.. Panna gospodarowała, biegała dzień cały, wyglą ała jak poziomki ze śmietaną, piersią rozsadzała stanik, — mołodyca! Sławna? Broń Boże!... O dwie m le nikt jéj nie znał. Robiła cudownie leniwe pirożki, lubiła szalenie dzieci i ogórki...

Był to właśnie interes dla naszego bohatera! . Poznał się z ojcem... Z panną Agatą wnet przyszli do ładu... Raz kładła jéj niańka kabałę i wypadł jéj trzy razy ślub... Ślub dla panienki! Agata pokryła się najjaskrawszą purpurą...

Tego dnia by y pirożki ze śmietaną na obiad...

Po objedzie bohater nasz rozczulony ulubioną potrawą, postanowił się oświadczyć...

Panna zapłonęła jak mak polny i poszła rzucić się na szyję niańki. Zadziwiano się nad ziszczeniem wróżb kabały!...

Najtrudniéj było z ojcem. Potrzebował gospodyni. Wdowiec poruszył wszystkie potęgi swojéj wymowy i dopiął nakoniec celu... Ślub odbył się w parafialnym kościółku. Żadna świeca nie zgasła, żadna zła wróżba nie zaćmiła dnia. Wszyscy byli w zachwyceniu. Rozbity i gwiżdżący głos organów pędził za parą nowożeńców echem radosnego Veni Creator, aż do progów starego domu, gdzie ich przyjęli figlarnie uśmiechnięty miesiąc miodowy i spocona Motruna...

Akt IV.

Miesiąc miodowy!... Dwa te słówka wywolu ą przed myśl tysiące czarujących obrazów. Wyobraźnia na temat ten wysnuwa sytuacye, zdolne wstrząsnąć myśl i duszę. Jest pewien wstyd, zresztą właściwy i zacny, w kreśleniu kroniki téj tajemniczéj i zachwycającéj epoki przed profanami. Powieściopisarz świadomy nie śmie iść tak daleko, nieświadomy, jeśli śmie, któż zaręczy, że odgadł dobrze. A jednak epoka ta, jakkolwiek zwyczajnie tak krótka, że smutną cyfrą miesiąca się wyraża, przez usta natchnionego i szczęśliwego małżonka wyszedłszy na świat, jakążby zmianę zrobić mogła? Celibat straciłby najzapaleńszych swoich wielbicieli. Statystyka ma żeństw podskoczyłaby z radości... Interesowani niech o tém myślą. Avis au lecteur!... — Jakkolwiekbądź jest to pewna, że miesiąc miodowy naszego małżeństwa przeciągnął się nad wszelką miarę. Pieszczoty ich przyprawiały najczulsze gołębie o zazdrość.... Cały czas wolny od koniecznych wymagań życiowych poświęcali słodkim rozmowom. Gdzież tam! Często, w gorący dzień czerwcowy, gdy przez zapuszczone firanki wkradał się ledwo jeden niedyskretny promyk słońca, mógł on dojrzeć szczęśliwą parę patrzącą w uniesieniu na siebie. Złoty pył igrał w słońcu, z podwórza dolatywał gwar zmieszany pracowitych głosów, na dachu tęsknie i namiętnie gruchały gołębie. Wprawdzie na miękkim dywanie leżał pęk kluczów, a za drzwiami stała dyskretnie Motruna, od czasu do czasu pochrząkując tylko i obcierając chroniczny pot ze swego lica. Ale gdzież było myśleć o tém. Pulchna i skora niegdyś rączka panny Agaty, dziś omdlała ręka rozkochanéj żony, nie miała siły schylić się po klucze. Chrząkanie Motruny zagłuszał mąż pocałunkami. Co im tam obiad! Obiad w miodowym miesiącu!... Niech Motruna chrząka. Było im tak dobrze...

Tak mijały dni i miesiące... Bohater nasz, któremu pierwsze małżeństwo nie zostawiło zbyt radosnych wspomnień, pełną piersią wdychał obecne szczęście. Nic go już nie trwożyło. Żaden obłok nie zaćmił błękitu jego myśli. A jednak tajemnicza groźba wisiała nad nim, jak miecz Damoklesa!... Fatalizm, jak jastrząb nad bezpiecznym gołębiem, zakreślał w górze złowróżbne koła!...

Raz w wieczor, nasz bohater, kładąc do snu z błogim uśmiechem głowę, przypominał sobie o pewnym drogim sekrecie, który mu płonąca małżonka niedawno w ucho szepnęła... Niedługo miała odkryć się tajemnica... Niedługo, może dziś... może... Jakże był szczęśliwy! Syn jego, bo to będzie syn, nie dozna tego co on losu. Ojciec jego nie jest dzięki Bogu sławny... Tak marząc zasnął. Miał sny gorączkowe i niespokojne. Zdało mu się, że jest w swoim gabinecie przed książką kasową... Najgłębsza panowała ciemność. Naraz w różnych rzędach cyfr rozstawionych na kartach książki pokazało się mnóstwo błękitnych ogieńków. Spojrzał. Płonęły same trójki! Reszta cyfr była w głębokiéj ciemności. Naraz począł się ruch. Z rubryk rozdymając się i rosnąc w ludzkie postacie na krótkich nóżkach poczęły wyskakiwać trójki! Było tego tysiące. Całe legiony, półki małych, rozdętych, garbatych figurek. Co chwila przybywały nowe posiłki. Ze skrytek, książek, kalendarzy, zegarów wychodziło całe trójek mrowisko. Miały podwójny kostyum. Jedne w zawojach i hajdawerach czerwonych, jak Arabowie, inne w togach, na koturnach, trzymając w ręku pletro, albo miecz krótki, jak Rzymianie. Naraz rozdzieliły się w dwa szeregi: Rzymianie po jednéj, Arabowie po drugiéj stronie... Zagrzmiała niewidzialna muzyka. Począł się kadryl! Ale jaki kadryl! Były to wszystkie możliwe przemiany i kombinacye trójkowe. Kadryl zamienił się w walca. Migały 6, 12 i 15... Szalony rozp d tańca je unosił... Muzyka grzmiała ary krążyły wywieszając mu języki, otaczając go ogromném kołem. Po nad niemi pałał błękitny ogień. W głowie mu się troiło... Naraz stał s ę ogromny hałas... Jedna trójka coś przewiniła... Straszne pêle mêle nastąpiło. Wrzask! tumult! nie do opisania!... Błękitne światła zgasły... Ścigano się w ciemności... Prześladowana trójka rzuciła mu się na piersi i chowając się przygniotła go ogromnym ciężarem... Inne szarpały. Chciał się wyzwolić i wydać im ofiarę! Gdzie tam! Przyczepiła się paznogciami... Czuł że się dusi... Chciał krzyknąć...

— Panie! najdroższy!... winszuję! winszuję!... błogosławieństwo boskie!... gołąbku serdeczny!...

Popatrzył przerażony... Za rękę trzymała go Motruna, zostawiając na niéj pocałun i, łzy i pot... Twarz miała rozjaśnioną i purpurową z radości...

— Co to jest, co się stało, krzyknął zrywając się.

— Panie najmilejszy! gołąbeczku! raduj się — Bóg dał... i tyle razem...

— Co ty gadasz? czyś oszalała!

— A juści byłoby z czego... takie szczęście... a drobne to... a bialutkie... a wszystkie podobniusieńkie do siebie! i całowała i płakała...

— Do kroćset, dowiem-że się wreszcie, co to znaczy!

— Ależ urodziły się, urodziły... łaska boska... dziw! trojaki... mój gołąbeczku... trojaki...

— Co?!! Trojaki!! zawrzasnął i popchnąwszy osłupiałą Motrunę, wbiegł do żony...

— Niestety... był szczęśliwym ojcem... trojaków!

Od téj pory bezsenna troska siadła u wezgłowia ubłogosławionego ojca... Ponury i zrozpaczony chodził, od wszystkich stroniąc... Nikogo nie przyjmowano w domu. Okienice były zamknięte Dom jak twierdza, od któréj klucze on posiadał... Na pieszczoty i łzy żony odpowiadał wybuchami wściekłości... Motrunie jedynéj służącéj i akuszerce przysiądz na Ewangelią rozkazał, że o dzieciach milczeć będą!... Nieraz stanąwszy nad kolebką niemowlątek, wpatrywał się drżąc cały, potém odbiegał z rozpaczą i zgrozą szepcząc:

— Gdyby się kto dowiedział!...

Napróżno!

Raz siedział przy śniadaniu, kiedy podano mu przepuszczony przez bramę domu dziennik stołeczny... Począł czytać, naraz oczy stanęły mu kołem, twarz się skurczyła, zgrzytnęły zęby i wrzasnąwszy wielkim głosem:

— Zginąłem!... wypadł z pokoju!

Oto co było w dzienniku w rubryce Rozmaitości;

„Dla wiadomości łaskawych czytelników podajemy fakt, którego rzadkość szczególną mu wagę nadaje. W okolicy X. na Polesiu, pewien obywatel świeżo ożeniony został szczęśliwym ojcem trojaków. Spodziewamy się, że czytelnicy dowiedzą się z radością, iż to znany stolicy syn znakomitego Zadory, któremu przy téj sposobności łzę czci i żalu poświęcamy, mąż tak zawcześnie zgasłéj gwiazdy naszéj pięknéj Idalii jest tym ojcem trojaków. Tytuł podobny, jakże musi być miły sercu ojcowskiemu! Czynimy zadość zadosyć troskliwości osób interesowanych, dodając, że matka i troje niemowląt w zdrowym znajdują się stanie."

W kilka tygodni w tym samych dzienniku pod rubryką Ogłoszeń zjawił się następujący artykuł:

„Zaprzeczam uroczyście, jakobym był kiedy ojcem trojaków...

Podpisano:

Syn znakomitego Zadory, mąż pięknéj Idalii.

Nieborak!... zwaryował!!...

Akt V.

W kilka miesięcy potém opowiadający to, w przejeździe przez X. odwiedzał miejscowy dom zdrowia. Była właśnie godzina rekreacyi...

Mnóstwo obłąkanych kręciło się po kurytarzach i przechadzało po obszernym ogrodzie... W altance, na kamiennym stole w koronie ze słomy i purpurze ze starego płaszcza siedział maleńki człowieczek... Był to król. W ręku za berło trzymał drewnianą łyżkę... Kilkunastu ponurych mężczyzn leżało pod drzewami. Jeden biegał nachylając się na prawą stronę jakby co wylewał. Był to czajnik... Szedłem daléj... Niechcący potrąciłem jakiegoś herkulesowéj statury człowieka, który przeciskał się z największą ostrożnością. Za mojém dotknięciem, zadzwonił jękliwie ustami:

— Dziń, dziń, dziń! i zawołał:

— Ostrożnie, bo się stłukę!

Zdawało mu się, że szklanny...

Pzzy samym parkanie stała jakaś brodata, zarosła postać... Człowiek ten oparty plecami o mur trzymał w ręku kij, którym zadawał powietrzu ciosy zapalczywe. Za każdém uderzeniem dodawał:

— Ha! masz! przeklęty synu znakomitego Zadory! Giń! obrzydły mężu pięknéj Idalii! Rozcinam cię na troje — niegodziwy ojcze trojaków?...

— Kto jest ten człowiek? spytałem zdjęty podziwieniem dozorcy.

— Ten człowiek.. odrzekł obojętnie... ten człowiek to... numer czterdzieści trzy!!

Nawet w domu waryatów nie był SOBĄ!!

ROZMAITOŚCI.

Szkoła realna w Poznaniu.

(Z ryciną).

Hr. Edward Raczyński, mąż pełen zasług, gotowy każdéj chwili do ofiar na rzecz ogółu, jak to wymownie świadczą pomniki po nim pozostałe w Poznaniu, zobowiązał się wypłacić 20,000 talarów na założenie szkoły realnéj w Poznaniu pod warunkiem, aby język polski był o tyle wykładowym, o ile język niemiecki jest wykładowym w szkole realnéj w Międzyrzeczu; a ostatecznie gdy deputowani z Poznania na to się zgodzić nie chcieli, żądał zupełnego równouprawnienia, mówiąc do Niemców deputowanych: „spodziewam się, że w Polakach widzieć zechcecie swych braci rodzonych, a nie przyrodnich."

Upadł projekt hr. Raczyńskiego, niemniéj późniejszy hr. Tytusa Działyńskiego i Poznań, w którym od tylu lat zajmowano się myślą założenia szkoły realnéj, myślą, któréj drogę starano się ułatwić ofiarami, był ostatnim z większych miast pod berłem króla pruskiego, w którém takową szkołę założono. Postanowienie radnych miasta, dotyczące się założenia szkoły realnéj, powzięte w r. 1838, czekało 15 lat na urzeczywistnienie projektu! Ostatecznie gdy zaprowadzone w r. 1850 przy obudwóch tutejszych gimnazyach oddziały realne dla trzech wyższych klas okazały się w swém urządzeniu nieodpowiedniemi, postanowili ojcowie miasta nabycie osobnego gmachu. Z całą energią młodego zapaleńca zajął się wykonaniem tego, ogólnie lubiony, radzca miejski i aptekarz ś. p. Daehne. Miasto kupiło hotel „a la ville de Rome" i w przeciągu 12 dni urządzono, jak można było najlepiéj, ciasne pokoje hotelu na klasy szkólne. Dnia 15 października r. 1853 obchodzono w sali ratuszowéj inauguracyą nowego przybytku nauk — w dwa dni późniéj rozpoczęto wykład nauk. Z iluż to przeciwnościami zakład ten miał do walczenia, ileż niewygód musieli znosić i nauczyciele i uczniowie pomieszczeni w ciasnych, ciemnych lokalach. Trudno jednakże było pomyśleć o usunięciu tych niedogodności i o zaprowadzeniu radykalnych zmian, gdyż wszystko to większych wymagało funduszów. Poznań nawiedzany tylokrotnie najróżnorodniejszemi klęskami, nie posiadał w majątku gminy tak znacznych kapitałów, by można było zaradzić coraz to gwałtowniejszéj potrzebie ufundowania nowych szkół elementarnych i zmiany szkoły realnéj, że pominę brak uniwersytetu, o który Polacy tylokrotnie się w petycyach do króla upominali. Miasto załatwiło tymczasowo co najgwałtowniejszą potrzebę, utworzyło r. 1858 szkołę średnią. Z zakładu tego prowadzonego umiejętną ręką zdatnego rektora p. Hielschera, już dzisiaj okazały się dobre owoce.

Odmianę szkoły realnéj zostawiono tymczasowo w zawieszeniu, które kto wie jak długo byłoby trwało, gdyby osoba prywatna nie przyszła gminie w pomoc. Reprezentant miasta, były kupiec p. Berger ofiarował się podarować miastu 50,000 tal., t. j. za tę sumę wybudować własnym kosztem przestronny a trwały budynek dla szkoły realnéj pod warunkiem, by w téj nowéj szkole zarówno uwzględniono obie narodowości i religie.

Imieniem miasta przyjął ten wspaniałomyślny dar liberalnego obywatela nadburmistrz i tajny radzca rejencyi pan Naumann na dniu 3 stycznia 1861 r. Niebawem przystąpiono do budowli, któréj wykonanie poruczył pan Berger miejscowemu architektowi panu Schulz. Jak się tenże z zadania wywiązał, pokazuje dołączona rycina dostatecznie, lubo i wnętrze téj nowéj ozdoby miasta, dla oka znawcy nie jedną chowa niespodziankę. Co do wspaniałomyślnego daru naszego współobywatela, pana Bergera, zauważyć sobie jeszcze pozwolimy, że gdy przezeń przeznaczone z góry 50,000 talarów nie wystarczyły na dokończenie budowy, nie wahał się sumę tę powiększyć i dołożył jeszcze 30,000 tal., aby raz powzięty plan przeprowadzić. Niezawodnie nader to rzadki przykład wytrwałej hojności.

Ostatecznie po kilku latach budowy, odbył się na dniu 16go kwietnia r. 1866 solenny akt inauguracyi nowego gmachu. Przed 9 z rana nauczyciel religii ks Kubowicz poświęcił aulę i klasy polskiego oddziału téj szkoły. Obecnie zakład ten rozwija się pomyślnie i liczy do ½ tysiąca uczni obu narodowości.

Zagadka.

Nie wiem w wista czy pikietę
Grają w Olimpie bogowie,
Ale wymień mi kobietę,
Co się jak ich gra zowie.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 41: ***Krzyżtoporski***).

Korespondencya Redakcyi.

Panu Aleksandrowi w Ostrowie: Non possumus. — Pani Urieli w Cz.: Zatraciliśmy adres — i dla tego odpowiedzieć nie możemy. — Panu L. W. we Lwowie: Qui vivra, verra. — Panu R. K. pod Inowrocławiem: Obiecuje Pan w przyszłości na coś lepszego się zdobyć — odczekamy. — Panu B. P. w Berlinie:

„Chcę mówić i głos podnosi,
„Lecz mu coś więźnie w krtani, —
„Wieszcz się z końcówką tormosi ..
„Plaudite cives Romani!"